



Adres: „PARADA”, Allied Press Unit, APO. 551 CMF.



ROK IV

NIEDZIELA, 11 SIERPANIA 1946 R.

NR. 16 (86)

SUNDAY, AUGUST 11, 1946

CENA EGZEMPLARZA: we Włoszech 25 lirow, w Egipcie 25 milsow, — w Palestynie 30 milsow.
w Wielkiej Brytanii i Imperium Brytyjskim 9 d., — we Francji 12 fr. w Niemczech 1,5 Mrk.

Z ŻYCIA 2 KORPUSU



Nagroda, uścisk ręki i miły uśmiech

Nad i za przeszkodą.



Fragment stadionu w Udine



Wręczenie nagród zawodnikom 2 Korpusu



INTER ALLIED ATHLETIC MATCH						
TEAM	100 YDS	200 YDS	400 YDS	800 YDS	TOTAL POINTS	PLACING
ARMY	33.6	72.4	62.4	66	62	3 rd
RAF	21.1	21.0	20.7	21.4	23	4 th
U.S. ARMY	22.8	31.4	28.8	36.2	68	2 nd
POLISH	22.2	27.3	36.4	48.3	72	1 st

Tablica wyników międzysojusznich zawodów lekkoatletycznych

Podczas przerwy przygrywa orkiestra szkoła



Zawodnicy 2 Korpusu odnieśli zwycięstwo na lekkoatletycznych zawodach międzysojusznich, które odbyły się w sobotę dnia 27 lipca w Udine. Zespół nasz w ogólnej punktacji zajął miejsce pierwsze, przed amerykańskim — miejsce drugie, brytyjskim — trzecie, RAF-u — czwarte.

Polacy zdobyli 5 pierwszych (kula, dysk, 200 m, 800 m, 1.500 m) i 6 drugich miejsc (100 m, skok wwyż, 5.000 m, skok o tyczce, skok w dal, bieg z przeszkodami) w piętnastu konkurencjach, zyskując 72 punkty. Zespół polski, silny i ambitny, zdobył się na zgodny wysiłek. Zespół amerykański, uważany powszechnie za niechybnego zwycięzcę, sprawił rozczarowanie wielu widzów, Amerykanie zdobyli 68 punktów.

Zawody były zespołowe; oceniano wyniki nie według indywidualnego sukcesu, a z sumy punktów zdobytych przez 2 bądź 4 zawodników. Mimo zajęcia ostatniego miejsca, RAF posiadał na stadionie najlepszego zawodnika. Był nim F-Lt. Guest, który — poza rzutem oszczepem — wygrał bieg na 1.500 m w pięknym stylu i czasie (4 min. 16,3 sek.).

Praski z 2 Korpusu w rzucie dyskiem wyprzedził znacznie innych zawodników (40,6 m).

W skoku w dal zwyciężył Lt. Whittle z armii bryt., osiągając 6,8 m.

Jeden z zawodników



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ZOLNIERZA POLSKIEGO
ROK IV

PARADA

NIEDZIELA, 11 SIERPNI 1946 R.

ILLUSTRATED FORTNIGHTLY
FOR THE POLISH FORCES
Nr. 16 (86)

MELCHIOR WAŃKOWICZ

KORRESPONDENCJA WŁASNA „PARADY”

NAD PEKNIĘCIEM ŚWIATA

(WRAŻENIA Z WIEDNIA)

Hulał sobie człowiek po trzech kontynentach od Teheranu do Klagenfurtu pięć tysięcy kilometrów w tę, pięć tysięcy mil w tę. Jeśli co zapomniał albo przypomniał, brał movement order i szorował z powrotem.

Aż ci nagle w Klagenfurt zrobiło się kuso. Jechało się, mado antiquo od Calais pocziwym „medkokiem” z nafi’ami, karmieniami campami, „yesserowaniem”. Zwiedziło się sobie to i owo wyskakując w bok, nikt za ogon nie łapał, nikt papierów nie patrzył. Skoczyłem do Dunkierki, zobaczyć sławetny „Wal Atlantycki”.

Jest! Dalibóg jest! Nie figuralny, złożony z bunkrów, tylko całkiem nazi-chiński mur żelbetonowy, wysoki na trzy metry, ciągnących się setkami kilometrów. Gdy trafia na miasteczko, to burzy domy za linią waju, a ściany domu znajdujące się na linii muru wciela jako części tego muru, zamurując okna.

Idąc przez które z miasteczek ku morzu, jest się informowanym przez inieszkańców:

Wyjeżdżasz już lub wyjeździesz wkrótce!
nie zapomnij o przysłaniu nowego adresu do

CENTRALI POSZUKIWAŃ PCK.
Polish Forces 55, ME.

W NUMERZE

- Reportaż z Wiednia
- Mistrzostwa tenisowe w Wimbledonie
- Wyspa pachnąca
- Zapalające się gwiazdy
- Muzealna gwardia
- Fermo się uśmiecha
- Witamina — kecy — rakiety
- Felieton
- Nowela
- Moda
- Humor
- Konkurs „Parady”

NASZA OKŁADKA:



Y. Petra (Francja) na kortach Wimbledon

— Niech pan weźmie w bok, bo ta uliczka biegnąca na wprost ku morzu jeszcze nie jest odmurowana.

Na wyłotach ulic stoją dźwigi i usuwają części muru, pokruszone elektrycznymi świrdami.

Od czasu do czasu obły łeb pokazuje kamzat podziemny. Człowiek łązi pomiędzy Niemcami, piętrami podziemi i nadziwić się nie może. Między Niemcami, powiadam, bo tu wszędzie Niemcy pracują, jako pseudo-jeńcy. Pseudo, bo ich nikt nie pilnuje, a jeśli się chce ich postraszyć, to sergant major mówi:

— Oj, bo do domu odeśle.
A w domu, w miastach niemieckich — tutto distrutto, tutto rubato, niente mangiare.

To też Niemiszki cenią sobie „job” i salutują mi z takim drillem, że niech się Pcmorska Brygada schowa.

Za to przy murze Atlantyckim coraz więcej ma się sposobności mangare. Za parkami zakochanymi, które pierwsze przyniosły na pamiętną plażę w Dunkierce gałązkę pokoju, sandwicze, całusy i gdzieś tam majtki kąpielowe, (tam gdzie droga ku morzu jest wytrasowana od min), za parkami kąpielowymi, które lubią się gnieździć w lejach po bombach — przysli właściciele knajpek i miejsc rozrywkowych.

Łażą wzdłuż Waju Atlantyckiego, na którym widnieją wcieloné mury z zatartymi szyldami różnych La Bomboniere, Ambre solaire, Bazar a la tentation, Mon Repos (a pomiędzy tymi słodkimi napisami warkliwy gotyk wskazuje na ile manzaftu jest dany schroni), łąż, dobrodusznj oberżycy w ka-

mizelkach z zawiniętymi rękawami i coś malują, coś szpuntują, coś przybijają — aż poniekąd już wviesi prowizoryczny szylid i kusi bujabesą (zupa rybna).

A kiedy dalej się pomyka z tych kątów, które ponownie usiłują się uśmiechać, woj-

skowy pociąg międzynarodowy, pocziwy „medloc” przynosi jak czarodziejski dywan przez granicę. Przed oknami zamajaczy strzaskane powtórnie Karlsruhe, most wspięty ku niebu, ospiska domów, tory jak gniewnie zrywane sznurowadła, na których



Prowizoryczny most i rosyjski żołnierz regulujący ruch

Wyprzedający się Wiedeń gorączkowo szuka żywności





Z SZEROKIEGO ŚWIATA

W obrębie Londynu dookoła Clerkenwell Road znajduje się dzielnica całkowicie włoska, w której je się co dzień spaghetti i pije Chianti, oraz przestrzega ściśle wszystkich zwyczajowych procesji włoskich. Na zdjęciu procesja, wychodząca z włoskiego kościoła św. Piotra



Z konferencji paryskiej: Premier C. Attlee i pierwszy Lord Admirali A. V. Alexander w rozmowie z reprezentantem Indii — odbywają się w wspaniałej sali senatorskiej Pałacu Luksemburskiego



Mimo wszystko jest jednak sprawiedliwość na świecie. Uwierzyć w to musiał Arthur Greiser, były prezydent senatu w Miasta Gdańska i Gauleiter Wielkopolski, tak zwanego „Wartheland”. Skazany został za swe zbrodnie na śmierć przez sąd polski w Poznaniu. Tam też powieszony. Urodzony w Srodzie a wychowany w Inowrocławiu, Greiser był nie tylko wyrafinowanym polakożercą, ale i tchórzem. Przed sądem nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności za potworny okres swych rządów w Wielkopolsce, zrzucając całą winę na Hitlera i Himmlera. Jest więc jednym z „dobrych” Niemców, z tych samych, którzy siedzą na ławie oskarżonych w Norymberdze

W wyborach, jakie w lipcu odbyły się w Turcji, po raz pierwszy od 23 lat wziął udział — dopuszczona tym razem — opozycja. Jednym z jej przywódców jest marszałek Tchamak



Znany rzeźbiarz francuski Bartelley z dużym trudem (mały nie lubią siedzieć spokojnie) wyrzeźbił szympansa ogrodu zoologicznego w Paryżu. „Black” — jak to szympan — okazał się pojętym uczniem. Skorzysta natychmiast z nieobecności rzeźbiarza, by dokonać niezbędnych — zdaniem jego — poprawek. Wziął się do dzieła



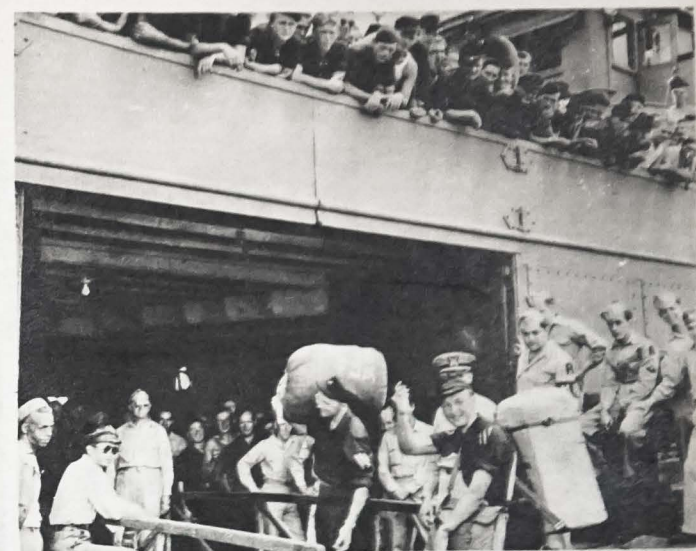
Oto najnowszy wynalazek amerykański: specjalny strój, pozwalający lotnikom na loty na wysokości 18 600 metrów. Bez takiego stroju i odpowiednich połączeń z nim przyrządów, ciała ludzkie nie wytrzymałyby ciśnienia, właściwego dla tak wielkich wysokości



Hotel King David w Jerozolimie, uszkodzony ostatnio bombami, jest największym na Środkowym Wschodzie hotelem. Zbudowany został w 1930 roku kosztem 250 000 funtów. Wraz ze znajdującym się na przeciw gmachem YMCA (z wieżą) stanowi piękną i harmonijną całość



Tego jeszcze nie było! To już szczyt amerykańizmu! W Ameryce wynaleziono obecnie nie tylko wiatraczek do chłodzenia zbyt gorącej zupy, ale również — jeśli zupa nam nie smakuje, a nie chcemy urazić reszty towarzyszy, specjalnym przewodem ukrytym w ręku wie spuszczaamy zupę do butelki pod stołem... Dobrze im tak, Amerykanom!



Południowo-zachodni narożnik hotelu King David rozerwany został niemal doszczętnie bombami, podłożonymi przez członków podziemnej organizacji żydowskiej

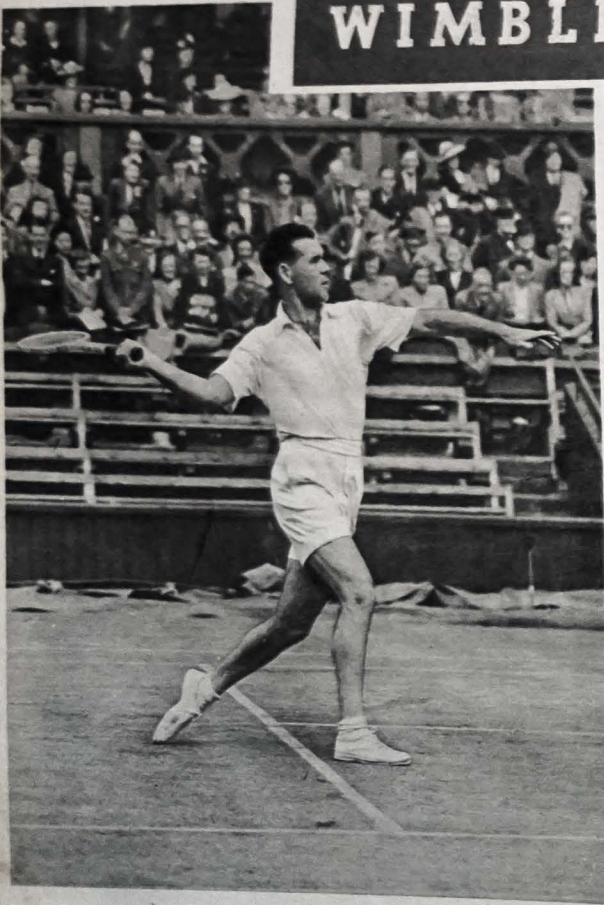




Luiza Brough (U.S.A.) i madame Landry (Francja)

Mrs. Bostock (W. Bryt.) w grze z madame de Meulmeester

NIESPODZIANKI WIMBLEDON'U



Tegoroczna rozgrywka finałowa o ogólno-angielskie mistrzostwo w tenisie, która odbyła się 6 lipca w Wimbledonie, która dla sportowców silnych emocji, dostarczyła pierwsze zawody o mistrzostwo Anglii od lat sześciu, toczyła się o nie mniej dramatyczna walka, jaką widział Wimbledon. Amerykanie zdobyli cztery tytuły, ciężkie chwile, gdy jury sędziowskie kilku dotarło do pół-finału i było uwatanych za ewentualnych zwycięzców.

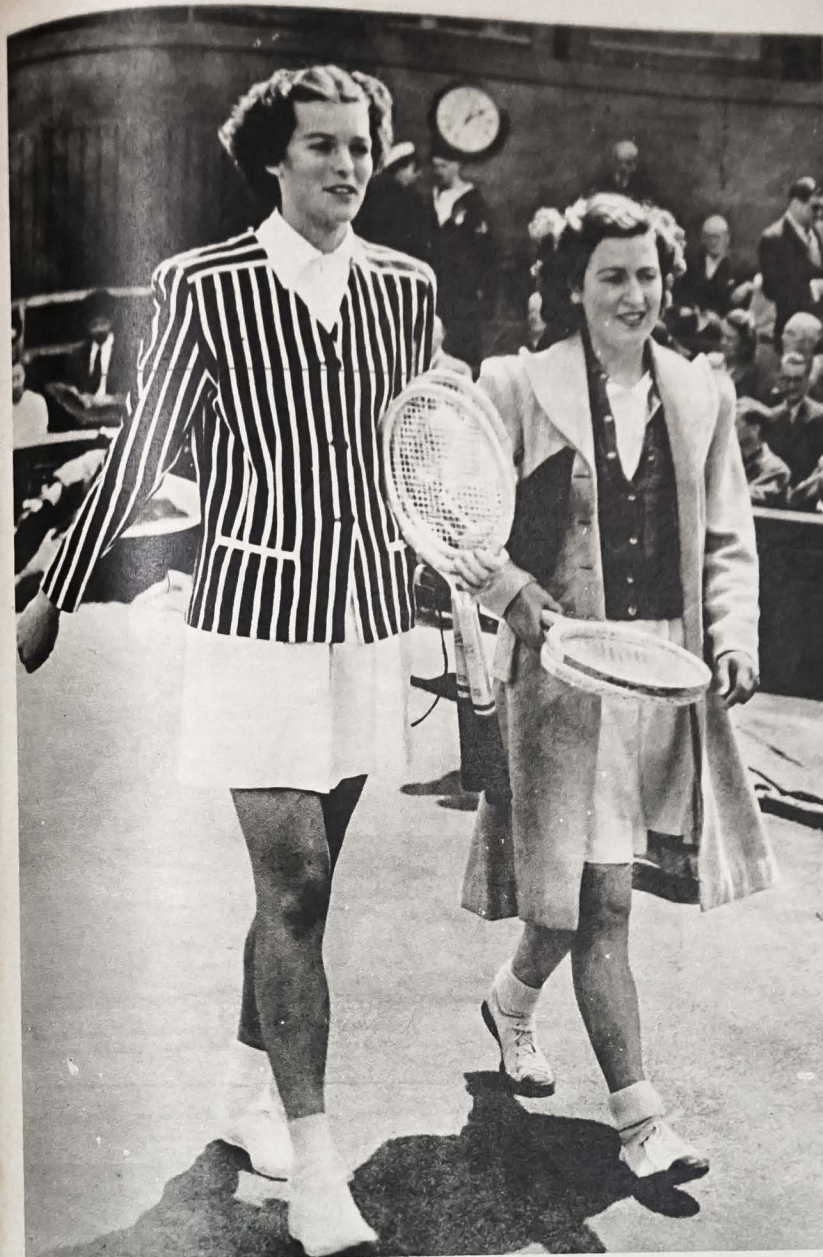
Jeśli wziąć pod uwagę warunki wojenne lat ostatnich, w których część graczy była pozbawiona nie tylko treningu ale i ludzkiego bytowania — trzeba przyznać, że poziom gry był niezwykle wysoki. Olurzyn Yvon Petra, broniący barw francuskich od lat siedemnastu, grał mało w ubiegłych latach; Jarosław Drobný, Czech, student medycyny, spędził czas wojny jako robotnik w metalowni praskiej, pracującej dla Niemców; Tony Mottram, jedyny Brytyjczyk, który doszedł do ćwierć-finału, służył w RAF'ie, zyskując D.F.C.

Po rozpaczyliwych walkach o puchary Davisa i Wightmana, reprezentanci brytyjscy przestali odgrywać jakakolwiek rolę w zawodach. Po raz pierwszy w dziejach Wimbledon Amerykanie zdobyli cztery tytuły mistrzowskie, a do gry podwójnej par stanęły na korcie cztery Amerykanki. Najniezwyklejszym graczem okazał się Australijczyk Geoff Brown — doszedł do trzech finałów i został pokonany we wszystkich.

Rozgrywki finałowe miały przebieg następujący:

Gra pojedyncza panów: Yvon Petra zdobył jedyny tytuł dla Francji, zwyciężając

Dinny' Pails (Australia) na korcie



Patricia Todd pokonała w zaciętej grze Verę Dace (obie W. Bryt.)

grającego dwuręcznie Geoffa Browna (Australia). Spotkanie nie miało momentów ciekawszych: Brown grał nierówno, niekiedy górował nad Francuzem błyskawicznie oddanymi serwami. 6 : 2, 6 : 4, 7 : 9, 5 : 7, 6 : 4.

Gra pojedyncza pań: Paulina Betz, trzykrotna mistrzyni Ameryki, osiągnęła niespodziewanie zwycięstwo nad swoją rodaczką Luizą Brough — członkinią zespołu, który zdobył puchar Wightmana. Miss Betz, nie mająca wytrzymałości swojej przeciwniczki, pokonała ją techniką i spokojem. Młodziutka Luiza nie mogła pozbyc się tremy: w ciągu ostatniego roku przegrała pięć finałowych spotkań z panną Betz. Popeliła kilka zasadniczych błędów, wykorzystanych przez stronę przeciwną. 6 : 2, 6 : 4.

Gra podwójna panów: Tom Brown i Jack Kramer (Ameryka) pokonali Geoffa Browna i Dinny' Pailsa (Australia). W pierwszym secie początkowo przewaga Australijczyków, w dalszej części i w dwu następnych setach do głosu dochodzą Amerykanie, Pails

nie był w formie, grał tak słabo, że ciężar gry spadł wyłącznie na Geoffa, co dało Amerykanom możliwość łatwego zwycięstwa. 6 : 4, 6 : 4, 6 : 2.

Gra podwójna pań: Miss Brough zrewanżowała się częściowo za swą porażkę wygrywając wspólnie z Margaret Osborne spotkanie z Pauliną Betz i Doris Hari (wszystkie panie — Ameryka). Zwycięska para od lat pięciu posiada tytuł mistrzowski Ameryki. Grała ona wspaniale w pierwszym secie. W drugim, kilka dobrych zagrań Betz równoważyła szanse, jednakże ta ostatnia jest wyczerpana i szybko wypada z formy. To decyduje o wyniku spotkania. 6 : 3, 2 : 6, 6 : 3.

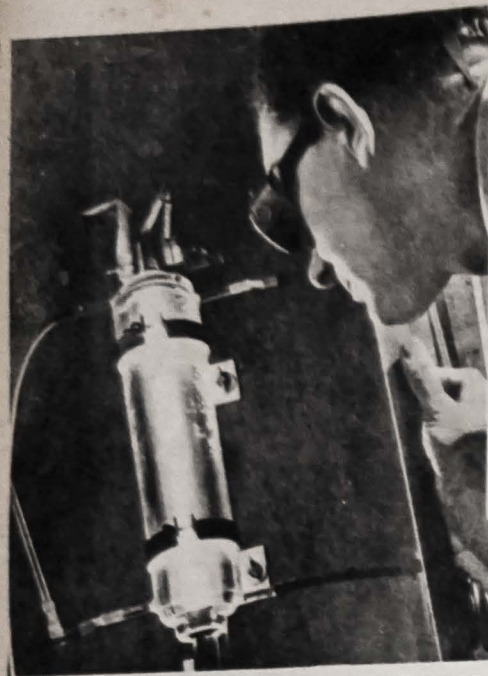
Gra mieszana: Tom Brown i Luiza Brough zdobyli czwarty tytuł dla Ameryki, zwyciężając bez trudu Geoffa Browna (Australia) i Dorothy Bundy (Ameryka). Para amerykańska posiadała całkowitą przewagę. Niefortunnie Australijczyk grał chaotycznie, jego partnerka — spokojnie, zdecydowanie. 6 : 4, 6 : 4.



Straubowa (Czechosl.) i miss Van der Wal

Dorothy Bundy (USA) w grze z mrs. Passingham (W. Bryt.)





Aparat-Lampa, w której pod działaniem promieni ultra-fioletowych powstaje witamina D

PROMIENIE ULTRA-FIOŁKOWE PRODUKUJĄ WITAMINĘ D

Institut Badań Medycznych Squibb w Stanach Zjednoczonych pracuje nad poszukiwaniami nowych witamin. Ostatnio skonstruowano tam lampę o tak potężnym strumieniu ultra-fioletowych promieni, że potrafi ona zamienić ergosterol, produkt o zerowej zawartości witaminy D - w substancję, której jeden gram zawiera 18 milionów jednostek tej witaminy.

laboratoryjną można już dziś otrzymywać wszystkie witaminy. Promienie tej lampy działają o wiele silniej niż promienie słoneczne i umożliwiają masową produkcję witaminy D, świetnego środka przeciwko krzywicy (tzw. „angielskiej chorobie”) u dzieci.

Ilość rachitycznych dzieci w Ameryce, w porównaniu do statystyk sprzed 25 lat, spada dziś niemal do zera.

Wynalazek potwierdza fakt, że metoda

...trudno o lepszą lodówkę: Proszę, jak świetnie wygląda zamrożony nasz szef



WITAMINY KOCE RAKIETY

ELEKTRYCZNY KOC

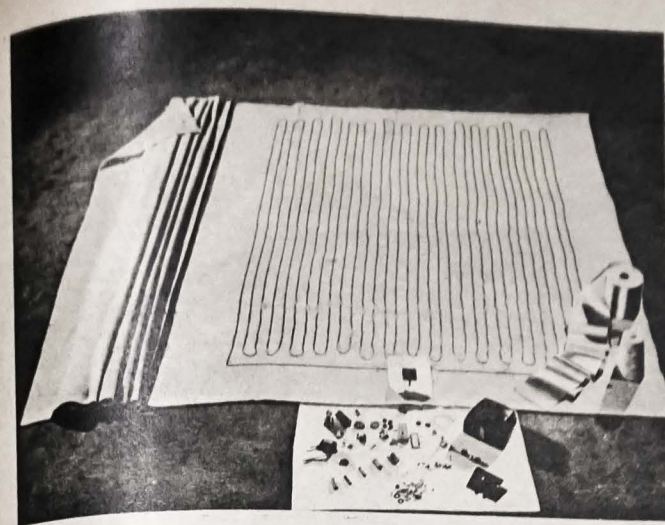
Jeszcze nie tak dawno, nasze prababki i babki uważały, że zasadniczą częścią wyzywnej, drogocennej wspaniale pędzy lub ciężkiej rozwiązanej, podobnie jak wiele innych, przy pomocy elektryczności.

Elektryczny koc jest wynalazkiem niezwykle prostym. W lekki koc wchodzi się dwa cienkie przewody elektryczne połączone ze sobą. Przez jeden drucik pobiega prąd i rozgrzewa go, drugi służy do regulowania temperatury koca z temperaturą pokoju i ciała. Jest on połączony z regulatorem elektrycznym, który można bez względu na zmiany temperatury w pokoju ciepło koca jest zawsze jednakowe. Do wyrobu koców elektrycznych używa się specjalnego materiału, który się nie gniecie, nie płonie i nie przepuszcza wody. Można go mimo to doskonale prać. Wytwórnia koców elektrycznych rozpoczęła produkcję na wielką skalę, a kocy mimo wysokiej ceny - 40 dolarów cieszą się w Ameryce ogromnym powodzeniem.



6 infra czerwonych żarówek nagrzewa pokój, pomimo tego temperatura „pod kocem” utrzymuje się w tej samej wysokości. Licznik wykazuje nieznaczne zużycie prądu - 10 kilowatów

Elektryczny koc produkowany ze specjalnego typu wełny nie gniecie się i jest zupełnie „waterproof”



Tak wygląda wewnątrz koca, zawiera ono 205 stóp przewodu elektrycznego



Pokryty lodem koc zachowuje tę samą temperaturę, ale zużywa o wiele więcej prądu

NOWY SILNIK RAKIETOWY

Pod koniec wojny w Europie, ciężkie bombowce amerykańskie były niekiedy zaskoczane przez niemieckie myśliwce raketowe, przelatujące nad nimi z szybkością ponad 960 km na godz. Ostatnio marynarka amerykańska ujawniła, że wynaleziono silnik raketowy dla samolotów, wydajniejszy od używanych przez Niemców. Jego zadanie: napędzać wodnoptawce prędkiej od szybkości rozprzestrzeniania się głosu, czyli ponad 1.126 km na godz.

Nowy silnik wynaleziony przez „Reaction Motors”, New York, zamienia energię mechaniczną przy najprościej skonstruowanej aparaturze. Podobnie jak w bombach latających V2, środkiem napędowym jest alkohol i ciekły tlen, ogromna zaś siła powstaje z gwałtownego płomienia dwz wylotowych. Silnik, ciężaru zaledwie 95 kg, posiada 8000HP - prawie tyle, ile pięcotonowe silniki B-29.

Ponieważ płomień ciekłego paliwa jest dostatecznie gorący do stapiania stali, chłodzenie ścian komory spalania jest podstawowym zagadnieniem konstrukcji. Rozwiązuje tę trudność silnik-regenerator. W silniku tym paliwo raketowe krąży wzdłuż komory przed spalaniem, chłodząc jej ściany, podobnie jak woda chłodzi cylindry w samochodzie. W czasie pracy silnik „regeneruje się”, tj. grzeje napływające paliwo, tak, że spala się ono łatwiej, gdy dostaje się do komory. Krótko - paliwo chłodzi silnik, silnik grzeje paliwo. Niektóre przewody chłodzi ciekły tlen w temperaturze poniżej - 182 stopni Celsjusza.

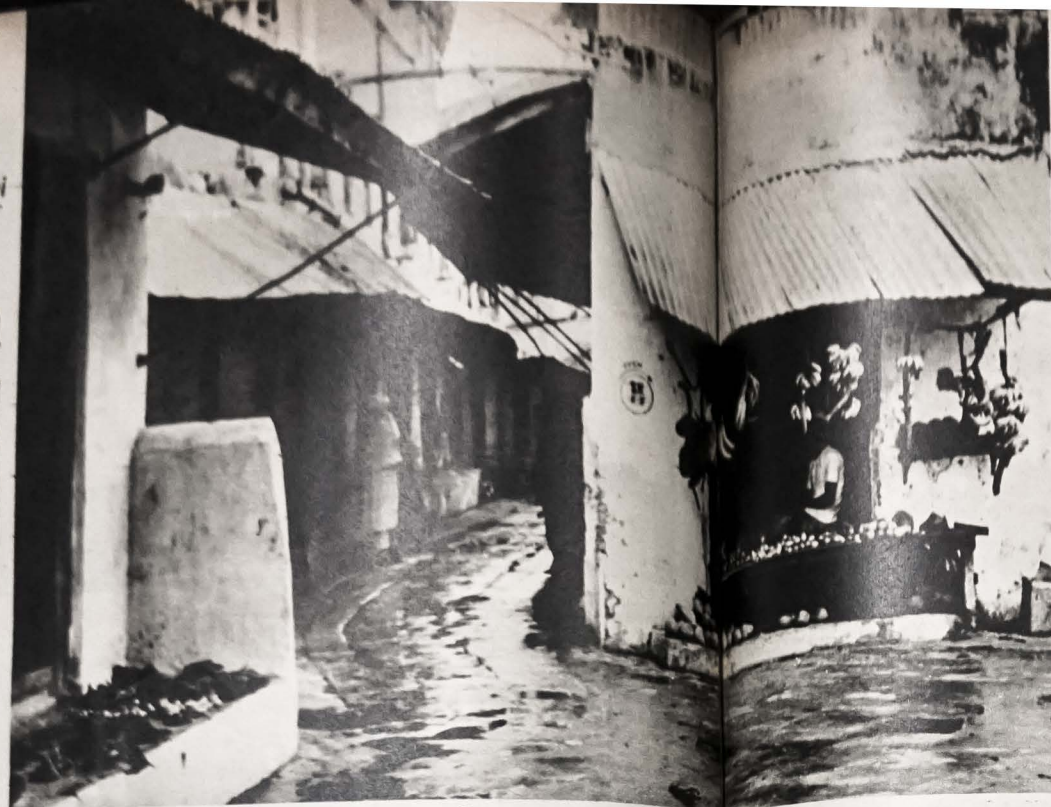
Specjalny przyrząd reguluje działanie silnika. Kombinowane włączanie cylindrów decyduje o jego mocy



Silnik wyrzuca snop płomieni z czterech cylindrów. Przewód jest chłodzony płynnym tlenem o temperaturze - 360 stopni Fahrenhita

Wyspa pachnąca

Inż. W. Ostrowski



Zbiór orzechów kokosowych

Cieniste i kręte są uliczki Zanzibaru

Wkrótce ukaże się książka. Inż. Wiktora Ostrowskiego pt. „Safari” przez „Czarny Ląd”. Poniżej zamieszczamy fragment z rozdziału pt. „Wyspa pachnąca”.

Brzeg Afryki Wschodniej zegnam w Dar es Saalam. Spokojny ten port całkowicie zasłużył na taką nazwę, oznacza ona bowiem w staro-arabskim języku: „Zatokę pokoju”. Wcięta głęboko w ląd stanowi idealną, osłoniętą od wiatrów i fal przystań.

Od razu po wyjściu z jej gardzieli, Ocean Indyjski przywitał nas swoim szerokim oddechem, czyli po prostu — falą. Rosła w oczach, zielona, czubata. Nadbiegła górami, otwierała głębokie doliny... góra — dół, góra — dół...

Za rufą, zielony brzeg Afryki, z delikatną koronką kokosowych palm, ze śnieżno-białą, usypaną najcudniejszemu w świecie piaskiem z raf koralowych plażą, to ukazywał się stęsknionym „czegoś stalego” oczom, to znów przesłaniała go wodna ściana.

Nie będę błagował, ale czulem się „wspinać”...nie jestem człowiekiem morza...

Prócz tego barka nasza była brudna. Tak brudna — jak tylko murzyńska łódź wo-

ząca ryby, śmierdząca kopre, świeże skóry, beczki ze smarami i mnóstwo innego pasakudztwa — być potrafi. Cuchnęła i po prostu ociekała brudem. Nie chciałym obrazić św. Wita, ale mam wrażenie, że jego taniec w porównaniu z dzikimi płasmi tego śmierdzącego pudła — był tym, czym jest posuwisty polonez w zestawieniu ze zwariowanym murzyńskim „hipa-hipa”.

Jedną czystą rzeczą na tym „statku” była pleciana mata rozieszana dla mnie na rufie. Leżałem na wznak, wyjąłowny ze wszystkich ludzkich uczuć, prócz bóleści i niechęci do życia. Palcami wczepiłem się w matę, nogami zaparłem się o coś — co od biedy poręczą nazwałoby było można, i trwałem w postanowieniu... nie wylecenią za burzę. Zułem w ustach nieme przekleństwa na swój los, na pomysł Billa włączenia w nasze „safari” — odwiedzin „wyspy pachnącej”, i przysięgałem sobie na wszystkie świętości, na pantofle Mahometa, brodę Proroka i wszystkie „totemy” afrykańskie, że już nigdy, za żadne skarby... noga moja na takim „pokładzie” nie stanie! Chwała jeszcze jeden, jedyny raz... bo przecież z tego Zanzibaru jakoś trzeba będzie wrócić.

Oczy miałem zmurzone, bo i na co tu patrzeć? Na idiotycznie wygięty maszt i brudno-rdzawą płachtę żagla? A może na tego czarnego sternika zapatrzony w w pływającą w oliwie busole i sterującego ot tak! od niechcenia... nogą?

Ach! ta noga! Miała w kostce chyba pół metra obwodu! I to tak — od kolana w dół: pień! Czarny pień wsparty na potwornie wzdętej stopie rozmiarów niesamowitych...

— Dętka pięciopłetwki napompowana aż do pęknięcia... takie porównanie przyszło mi do głowy i dopiero po chwili zrozumiałem, że biedak po prostu cierpi na... słonową chorobę! Brrrr! i do tego ten pokład ciągle gdzieś uciekający, i ten własny żółdek... wiażący w gardło. Zniechęcony do wszystkiego postanowiłem zasnąć.

Obudziło mnie jakieś pacnięcie. Jedno, drugie. Obok mnie na macie leżały dwie latające rybki, cudne błękitno-zielone motyle morskie. Rozczapierały swoje przezroczyste płetwy — skrzydełka, niczym wróble kąpiące się w piasku. Ująłem je najdelikatniej w dłoń i podrzuciłem wysoko śledząc z zachwytem równy lot, „rybki lot!”! Az zniknęły w wodzie...

I dopiero wtedy zauważyłem, że i fala zmniejszyła się znacznie, i barka nasza stała się jakoś bardziej stateczna, i dzień jest piękny, i nawet...noga słonowata sternika znów nie jest taka okropna.

Murzyn błysnął bielą zębów i machnąwszy gdzieś w przestrzeń łapą powiedział: — Zanzibaru!...

* * *

Stare arabskie przysłowie powiada: „jak zagrają na flecie w Zanzibarze — tak bę-

Zaułek w Zanzibarze

— gdzie tańczyć Afryka aż do... Wielkich Jezior”. Trudno zrozumieć sens tego powiedzonka, bez uzmysłowienia sobie smutnego faktu, że przecież ta cudna wyspa z raf koralowych Oceanu Indyjskiego powstała, a leżąca w odległości zaledwie 40 mil od brzegu Czarnego Łądu — kiedyś, wcale nawet nie tak dawno, była... postrachem tego kontynentu. I to rzeczywiście — aż do Wielkich Jezior (dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia jeziorami Wiktorii, Tanganyki, Eduarda itd. nazywanym), na obszarach blisko milion kwadratowych mil liczących! Zanzibar ówczesny śmiało mógłby być nazwany „współ placzu i niedoli”.

Zanzibar był bowiem największym rynkiem handlu czarnym towarem. To znaczny niewolnikami.

Wyspa Zanzibar i jej bliźniacza siostra Pemba powstały kiedyś dzięki życiu i śmierci wielu miliardów malusieńkich żyjątek, a raczej ich zwapniałym powłokom doczesnym. Są to wyspy koralowe. Ledwo ledwo wznoszą się nad poziom Oceanu Indyjskiego, mają cudowny klimat, obfitość słodkiej wody. Na wyspach mieszka coś ponad 300 tysięcy żółtych, śniadych, brązowych i czarnych mieszkańców, ale zaledwie 200 Europejczyków.

Wszystkie te dane znajdziemy w każdej encyklopedii, w każdym słowniku geograficznym. Ale nie dowiemy się, że w mieście Zanzibarze stolicy tego raj, były przybyły... nie ma gdzie zamieszkać, nie ma gdzie jeść. Zupełnie tak — jak w pewnych oddziałach wojska, żołnierz bez...karty zaopatrzenia! Zart jednak na stronie, w Zanzibarze po prostu nie ma ani hoteli, ani restauracji dla białych. To trzeba rozumieć tak: odpowiednich... dla białego, dla Europejczyka. Od czegoż jednak człek podróżuje z angielskim korespondentem? — staje się gościem „English Club”. I właśnie o tym „Clubie!” muszę napisać. Nie zaimponował mi wcale sam budynek —pałac, niezliczona ilość sal i świetnie wyposażona służba. Zaimponowały mi trzy duże sale zastawione szafkami z książkami, biblioteka. 35.000 tomów! i to wszystko dla tej znikomej garstki 200 Anglików (licząc i kobiety i dzieci!) rozsiadanych zresztą po obu wyspach. A jedna z tych sal (naturalnie największa!) zawiera książki wyłącznie na tematy geograficzne i kolonialne!

Zobaczyć taki zbiór książek w jakimś tam klubie i zrozumiesz dlaczego ten naród rządzi na kolosalnych przestrzeniach wszystkich kontynentów.

Chyba nigdy w życiu nie miałem takiego ostrego uczucia zazdrości...

Szedłem wzdłuż półek dotykając pieszczołiwie ręką grzbietów tych książek. Te „cegielki gmaczu wiedzy” o całym świecie, gromadzone były wysiłkiem i pracą szeregu pokoleń, tysiący i dziesiątków tysięcy synów narodu odkrywców, badaczy, kupców...

Ale chodźmy do miasta, do jego starych cienistych uliczek. Wąziutkie uliczki są kręte, gubi się w nich człowiek. Balkony i wystające daleko deszki łączą się i tworzą nieprzerwany ciąg podcieni. To nie tylko osłona przed prostopadłymi promieniami stojącego w zenicie słońca. Mam własnie początek „małej pory deszczowej”. Kilka-ście razy dziennie spada krótka ale gwałtowna tropikalna ulewa. Stoisz pod daszkiem, na chodniku co blisko pół metra wznosi się nad jezdnią, i patrzysz jak środek uliczki raptem zamienia się w łożysko potoku, ba! całej rwącej rzeki! Szurowie obok ciebie spieniona. A za chwilę znów uśmiechnie się słońce i w parę minut wysuszy ślady ulewy.

Cieniste i kręte są uliczki starego Zanzibaru. Przeciskając się wąskimi chodnikami wieszasz się po prostu o stragany kupców wysunięte z okien sklepów, zaglądasz bez żenady w półmroczne wnętrza tych ostatnich i wachasz... Tak, tak! właśnie wachasz! Bo Zanzibar pachnie!

Powietrze przepojone, przesycone jest cudownym, z niczym nie dającym się porównać zapachem. Przede wszystkim zapachem goździków.

W dzielnicy handlowej zapachy się mieszają i po prostu otumaniają człowieka. Owoce! I to jakie! Wieszają złote ananasy, pękają banany, delikatne „paw-paw”, daktyle, stertami ułożone są wlochaty orzechy palm kokosowych, jakieś dziwaczne owoce kaktusów i dziesiątki innych, co to ani nazwy człek nie zna, a na wypróbowanie wszystkich smaków — czasu i żołądka nie starczy! Znacznie łatwiej jest po prostu określić... jakicim owoców nie ma na tej cudownej wyspie, niż wyliczyć jej bogactwa. Nie widziałem... żorawiny i czarnych jagód. Poza tym — chyba wszystko!

I jak to pachnie! Znanie powiedzonko: „Afryka jest krajem, gdzie kwiaty nie mają zapachu, a owoce smaku...” z pewnością nie ma racji bytu z Zanzibarze, Zanzibar musi być wyjątkiem. Cudownym wyjątkiem...

Zagubiłem się zupełnie w sklepach korzennych. Worki, paki, szufady, szkatuły zapelnione jakimś ziarenkami, orzeszkami, kaszkami, maczką... I czerwone to, i czarne, zielone, żółte, szare — a wszystko pachnące, że aż w głowie się kręci. Sprzedają pęki nieznanych traw, żują jakieś zieliska, wiszą girlandy nanizanych na sznur liści...

Przedmiocie Zanzibaru nad kanałem

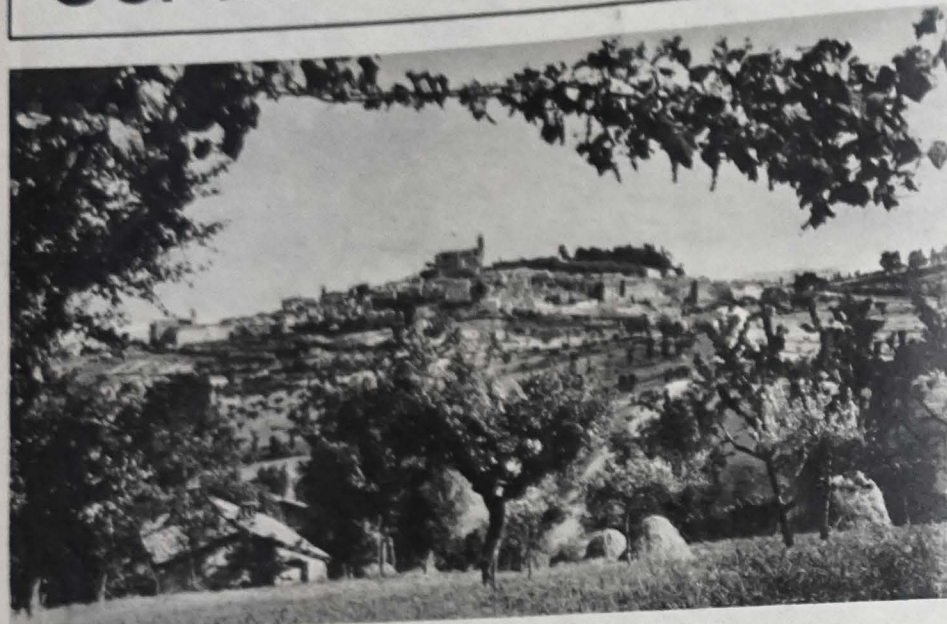
Na targu rybnym znów rozłożono przed sobą bogactwo wód Oceanu Indyjskiego. I kraby, i potworne langusty, i muszelek wszelkich rozmiarów ogromna, a ryby — jakie dusza zapagnie, od maciupieńkich do takich co to kilku zdrowych chłopów z trudem uniesie! Tu leżą resztki jakiegoś półwartowanego potwora. Została sama głowa, przypominająca raczej głowę... potężnego byka! tu znów szeregi... młodych reklinów. Ponoć przysmak nie byle jaki!

Proponują mi odrąbaną nogę polipa, serdecznie zachęcają skosztować wnętrza otwartej muszli. Dziękuję jak mogę, że wszystkimi „salaamami” i stanowczo odmawiam. Chciałbym, przynajmniej się szczerze, spróbować taki specjał, ale... nie wiem jak do niego się zabrać. Czy jeść na surowo? Czy posolić? Czy kazać zanieść do domu, aby czarny „kok” usmażył w oliwie palmowej? Poza tym przypomniałem sobie

Palmy kokosowe wyrastają wysoko na rafach koralowych



USMIECH STAREGO FERMO



Ogólny widok Fermo



Smukle pinie nad miastem



Małowniczy rynek starego Fermo

Nudę pelzającego czasu w Porto San Giorgio odmierzają zegary — i kolejka.

Przez pełne gron winnice, w poprzek zapylonych dróg polnych, obok białych wozów, co szóstkami jeden pług ciągnąc, szarą stwardniałą ziemię stromym stokom wydzierają, powoli, powoli pnie się w górę tramwaj. Choć w mozolnym wysiłku, stukocem szynami i tanecznie się pochyla, Wieża katyldy w Fermo jest coraz bliżej... Jeszcze tylko przez tunel, w którym oprócz się jeszcze na o ścianie (ludzie mówią: „wykoleił się tramwaj”), i przystanek ostatni — pod starą bramą, przy rynku.

Stara brama, mury, stare miasto. Małowniczy rynek, jak ulice Bolonii, podcieniami otoczony, uliczki wąskie, najczęściej stopniami pokryte, pod galeriami, najczęściej niami i bramami z góry na dół — z dołu na górę zawile wiodące... Nie bój się jednak przechodniu, że zabłądzisz, wszystkie na rynek cię wyprowadzą lub na 320-metrowy szczyt, pod katedrę i pałac rodziny da Vinci, polsko-włoskiej krwi. Zdziczały, rzadka kwiatami ubarwiony park i pinie smukłe nad miastem i Adriatykiem wyraźają, z niedalekim równając się pasmem gór.

Stoki szczytu gęsto obsiadły domy mocne, tęgimi drzwiami warowne i trudno dostępne. Domy stare zwykle bez łazienek, z niespodzianką za to — ogrodu na drugim,



Nauka praktyczna w Gimnazjum Mechanicznym

trzecim piętrze... I z każdego niemal założu tylko ręką sięgnąć — dziesięć kilometrów odgarniając — po jaskrawo błękitne morze. Jak rodzynki w niezdarłym cieście tkwią pałace comtów i comtess. Miasto jest bogate, znane z doskonałych rzemieślników, dostatnich sklepów, dobrego wina i ładnych dziewcząt. Wielki i ładny teatr służy przede wszystkim zespołom z Korpusu, a gospodarzy w nim rewia Krukowskiego, idyllicznie mieszkającego w hrabiowskim pałacu.

Wąskie uliczki stopniami pokryte...



Fermo, jak rzadko które miasteczko włoskie, żyło się z wojskiem polskim, z artylerią, z teatrem i — „ciocią Imcia”. A najwięcej może — ze szkołą. Z jej młodością, uśmiechem i piosenką.

Wylaniają się rano z bram i uliczek, z książkami i zeszytami pod ręką, bo taka jest teraz ich broń — uczniowie Gimnazjum i Liceum Mechanicznego, żubry przemieszane z świerkami, szeregowi i oficerowie z całego Korpusu. Weterani wielkich bitew i młodziaki, co znów do książki wzięli, z tą tylko różnicą, że teraz w mundurze. Są w Fermo od 7 lutego i kończą pierwszy siedmimiesięczny rok szkolny. Jedni ukończyli przed tym dwie klasy gimnazjum mechanicznego i mogli się wykazać praktyką, innych przyjęto z absolutorium gimnazjum elektromechanicznego również po odpowiedniej praktyce. W liceum są dwa wydziały: elektryczny z sekcją silno-prądową i słaboprądową oraz mechaniczny o dwóch sekcjach: warsztatowej i samochodowej. Program liceum jest trzyletni. Wszyscy uczniowie korzystają z wielkiej pomocy, warsztatów i instruktorów włoskiego Instytutu Mechaniczno-Lotniczego, stojącego na wysokim poziomie.

310 uczniów jednej tego typu szkoły polskiej na terenie Włoch, uczy się dobrze — jak mówią wychowawcy, a „obkuwa się cholernie” — jak podrywają chłopcy sami z siebie. Szkoła polska stała się już istotną częścią obrazu pięknego miasteczka. Uśmiech starego Fermo jest również ich uśmiechem, tych dojrzałych już uczniów.

Pod wieczór, kiedy chłodniejsze podmuchy wkręcają się w spłot uliczek, otwierają się przyduszone upałem oczy domów, przez rozwarłe okna nad zmurszałym daskami ręce sobie podają dwugłos Staszka i jakiejś Marii, naszego Taddeo i włoskiej Anny Rity... „come sta... veni qui...”

Pod jednym oknem w zaułku św. Mikołaja, zawsze o tej samej porze Ewa zaczyna, zawsze tak samo: „Proszę paaana... proszę pana!”

Okno nie otwiera się, a — rozrywa z trzaskiem. „Nasza Kujawianka...” I zolnierze — jeden jest także Kujawiakiem — wymieniają z Ewą serwis wiadomości, od zdrowia lalki po przyjazd tatusia, z nieodłączną kropką nad i: kto z kim się dzisiaj „gniewa”. Kto jutro będzie przepaszal.

Bo Fermo ma też — swoją Ewę. — Moją Ewę! Wszyscy ją znają, kiedy idzie ulicami, obejmuje miasto w posiadanie... okna się otwierają, ze sklepów wychodzą Włosi, uśmiecha się biały pór ze słodkim frappé, kwiaciarka podaruje kwiatek (stała ozdoba pukla włosów) ...„czau Ewa!” Latwość sześciu lat przedko pozwoliła jej założyć znowu dom, tutaj — w Fermo.

W Fermo jest Ewa. Do domu więc jeździe — po sześciu latach,



Spawanie daje dobre efekty świetlne

Zmierzch popiesznie wpada między domy i nocy je oddaje. Noc jest tutaj wielkim koncertem, w którym ani jeden instrument i głos nie jest szarmonizowany, akordeon gdzieś ze stoku kujawianką podający, czy gardłowe „Ritorno a Napoli!”, usłyszysz tu również włosko akcentowane „Mariusu, buzi daj!” i „Czerwone maki na Monte Cassino” „...czolem” Włocha i polskie „czau”.

Późno dopiero, bardzo późno, kiedy ko-

Ewunię z Kujaw zna całe Fermo



guty piąc zaczynają, milkną śpiewy, gwizdy i grania, pozostałe tylko rzadki klekot kroku zapóźnionego przechodnia lub kołowej dwukółki, spieszącej przed świtem...

Ranek w Fermo, to ranek bajki zabranej. Nie jestem już sam. Poranek z bajki, samotnie śnionej przez sześć długich lat. Kiedy Ewa otwiera przejrzyste szaro-niebieskie oczy, wiem: skończył się zły sen.

Tadeusz Sygniewski



Przez długich sześć lat wojny kapelusze damski przestał właściwie istnieć. Miejsce jego zajęły berety, furatki i różno: kaputki doskonale chroniące przed zimnem, wiatrem i deszczem. Zdawać by się nawet mogło, że rozsądek zwyciężył i te przeważnie cudaczne wytwory inwencji i bujnej fantazji; modystek znikną z powierzchni ziemi. Rzeczywistość jednak wygląda inaczej...

Greta Gyni w kapeluszu „London Town”



Wydaje Allied Press Unit (Dyr. E. Sykes) dla Army Welfare Services. G.H.Q. C.M.F. (Redaktor Por. W. J. Cichy).
Adres Redakcji: „PARADA” Allied Press Unit, APO 551 C.M.F. — Biuro kolportażu: APO 592 C.M.F.



Neda Naldi

Kapelusze...



TOM HENDERSON



Str. 2: fot. J. Michalski
Str. 3,4,5: fot. Keystone
Str. 6,7: fot. Keystone
Str. 8,9: fot. Brit. Min. of Information
Str. 10,11: fot. „Life”
Str. 12,13,14: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 16,17: fot. (1,2) Lado, (3,6) Goldberg, (4,5,7) Hryniewicz
Str. 18,19: fot. Keystone
Str. 20: fot. Keystone
Str. 24, okładka: Artystka filmowa Carol Landis, fot. 20 Century Fox

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca

KONKURS PARADY

W bieżącym numerze spośród kilku dziesiątek nadesłanych fotografii — sąd konkursowy postanowił nagrodzić zdjęcie por. Baczynskiego Boiesława, które powyżej reprodukowujemy.

Jest to jedna z najlepszych fotografii dotychczas nadesłanych na konkurs. Wyróżnia się piękną kompozycją, graficzną prostotą i stanowczym przykładem często zapominanego faktu, że nie temat decyduje o pięknie fotografii lecz oryginalne ujęcie.

SUKNIE

ZA

60000

DOLARÓW



Ciężka od złotego haftu — biała tunika wymaga odpowiednio bogatej biżuterii

Jak się okazuje najkosztowniejszą gwiazdą filmu amerykańskiego jest Rita Hayworth. Ostatnio producenci zapłacili sporą fortunę za jej stroje do nowego filmu pt. „Gilda”, których cena wyniosła w sumie aż 60 tysięcy dolarów.

Rita ani razu w czasie akcji filmu nie wkłada, a tylko zmiata ją pod nogi. Różowy negliż jest również raczej cenny, zrobił go z 28 jardów materiału kosztując 300 dolarów.

Wieczorowa toaleta ozdobiona haftem skopiowanym z obrazu Fra Angelico, za którą producenci zapłacili 1.800 dolarów

Różowa toaleta poranna uszyta z 28 jardów materiału, kosztuje skromnie 300 dolarów





Adres: „PARADA“, Allied Press Unit, APO. 551 CMF.